

Anna Turkówna
Równe na Wołyniu
kwiecień 1945 r

Odeszła na wieczną wartę
12 grudnia 1966 roku

R Z E Z W O Ł Y N S K A

5/2911

Zrazu dochodziły posępne słuchy,
Że po wsiach popi krwawe święcą noże,
Z podziemi, z głębi szept dochodził głuchy,
Że wkrótce Wołyn krwi łuną rozgorze.
Myśmy ku niebu podnosili twarze,
Może nas Pan Bóg tak bardzo nie skarze.
Aż w styczniu przyszyły niepojęte wieści,
Że w berezeńskim wyrznięto rodzinę,
Że śmierć wśród strasznych zadano boleści,
Że to bulbowcy, bulbowcy - nikt inny.
Że przysięgają krwawe wyrycć tropy
Którędy polskie przechodziły stopy.
Może to tylko zemsta osobista ?
Może się zbrodnia nie powtórzy więcej.
Nieszczęty: Jeden wypadek, sto, trzysta,
A potem dziesięć - tak, dziesięć tysięcy !
Straszne rzemiosło, szatańskie, piekielne rzemiosło
Poczęte w jądzie serc wyrosło.
Codzień na polskie wioski i zagrody
Nocna wataha leci - jak Tatarzy.
Szybką ucieczką ratują się młodzi,
Pod nóż zbójceki gardło dają starzy.
Rozpaczny lament zarzynanych dzieci
Świat cały chyba wszere i wzdłuż obleci.
Jak tu się bronić, gdy dzikie tysiące
Na polskie sioła suną jak upiory !
Już na dach miotą strzały gorejące,
Już w obrót poszły widły i topory.
Dobrywa bramy tłum żądny rabunku.
Znikąd pomocy, nadziei, ratunku.
Czterdziesty trzeci rok - całe miesiące
Na miedzach, w krzakach śpią polskie rodziny,
Zewsząd im grożą watahy wyjące
I krwi spragnione - mordują bez winy.
Zewsząd żarem morze się rumieni,
Straszliwy ognia blask wśród łąk zieleni.
Ośrodek Huty Stepańskiej rozbity.
Żal ściska serce - opadają dłonie.
Rozpacz i żalność ogarnęła szczyty,
Coraz bliżej krąg pożarów płonie.
I dniem się każdym gorsze wieści miosą.
Topory krwawe ociekają krwi rosą.
Znikąd litości, pomocy, pociechy,
W ciemność wpatrzone oczy pełne grozy.
Trzeba porzucić własne, stare strzechy.
Dawajcie wozy, zaprzęgajcie wozy !
W uszach nieszczęsnych jedna chęć urasta:
Zostawić wszystko, uciekać ! Do miasta.
I od tej pory dniem białym i nocą
Płyną jak fala wygnańców gromady.
Na wiejskim bruku już koła turkocą,
Jak niedobitki wracają - jak dziady.
Stracone ziemie, dobytek, nadzieje,
Nieszczęsne serce zawodzi, szaleje.
W każdym pokoju, oborze, kąciku
Gnieźdzą się ludzie, mieszkają biedacy.
Ileż to osób - bez liczby, bez liku.
Szukają mieszkań, pożywienia, pracy.

Nikt się nie troszczy o zbiegłe tysiące -
Jednako złote co dzień wstaje słońce.
Żadnej tu polskiej niema ambasady,
Nikt: sobie nędzą nie zaprzęta głowy.
Władze przemądrej udzielają rady:
Jedźcie do Niemiec, już transport gotowy,
Pobszły tysiące na lep, na stracenie.
Jak mary ludzie snują się, jak cienie.
Cóż robią nasi, najbliżsi, Polacy ?
Dziela się kątem i chlebem i strawą.
Zbierają wieści, szukają gdzieś pracy,
Uciszą serca, które broczą krwawo.
Zresztą coż mogą ? - Jak liść na wietrze
Každy teutoński but zetrze.
Jeśliś ciekaw, co złość ludzka może,
Pójdziemy do szpitalnej sali -
Leżą pokotem, pocięci przez noże,
Bez oczu, kończyn - jak płótno biali.
Spód stosu waty i krwawych bandaży
Powypalane sterczą resztki twarzy.
Widzę, jak dzisiaj, straszliwą ofiarę:
Oczy wypalone - z twarzy jedna rana,
Ciało zmarszczone, obolałe, szare,
Przez szczękę blizna bagnetem zadana.
To jedna z ofiar w Janowej Dolinie.
Nie mogę o tym - łza mi z oczu płynie.
Instancja jedna tylko pozostała:
Taka, od której nie ma apelacji,
Twarda jak granit i mocna jak skała,
Która nikomu nie składa relacji.
Jedyna tylko pozostała droga:
Przed Sąd Najwyższy, przed Trybunał Boga.
Jaki płacz wstrząsa murami kościoła !
Wciąż nowi ludzie - pełno obcych twarzy.
Czasem głos jakiś z rozpaczny zawoła,
Czasem jęk płynie pod stopy ołtarzy.
Taka modlitwa jest jak spazm i męka
I serce pęka - z żalu pęka.
Długi rok mi ja - przepełnione miasta,
Łuny pożarów co dzień niebo znaczą.
Progi spalonych siedzib mech porasta.
Co dzień sieroty po zabitych płaczą.
Na to już nie ma rady - żadnej rady.
Z każdego skreću dróg strach ziejże blady.
Z wolna mogiły osypały śniegi,
Łez zabrakło już w oczach spłakanych,
Czara goryczy pełna aż po brzegi,
Darennie czekać na powrót kochanych.
Sprawiedliwości musi się stać zadość.
Rozpłata przyjdzie - lecz czy wróci radość ?

mgr. Anna Turkówna urodziła się w grudniu 1908 roku w Zakopanem.
Gimnazjum ukończyła w Jarosławiu, studia polonistyczne w latach
1927-1931 na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W latach
1931-1937 pracowała jako polonistka w gimnazjum i liceum imienia
Tadeusza Kościuszki w Równem, gdzie w czasie wojny mieszkała.
W 1945 roku repatriowała się do Strzelc Opolskich, wiążąc się
z Ziemią Opolską do końca swego życia. Harcmistrzyni. Ostatnia
Komendantka Wołyńskiej Chorągwi Harcererek. Zmarła 12 grudnia 1966 r.
w Strzelcach Opolskich i tam jest pochowana.-

Wiersz przepisany z rękopisu dostarczonego przez przyjaciółkę
Autorki p. Helenę Wiwczarukową ze Strzelc Opolskich.-